

Wilk i dwa lisy, zabite na terenach dóbr Porochońskich u pp. Wład. Czechowicz-Lachowickich (stoją pp. Czechowicz J Chomętowski).

Na nowy Rok.

Rozpoczynając trzeci rok wydawnictwa naszego pisma i dążąc stale do udoskonalenia go zwracamy się do naszych Kochanych Czytelników o dalsze popieranie „Przeglądu Myśliwskiego i Łow. Pol."

Pierwszym krokiem na drodze do udoskonalenia naszego organu łowieckiego będzie stworzenie Bibljoteki Myśliwskiej, którą z dniem dzisiejszym rozpoczynamy wydaniem znakomitego studjum B. Świętorzeckiego o głuszcu, ilustrowanem przez Wł. Korsaka, z barwną okładką. Dziełko to dodamy bezpłatnie do numeru z d. 1-go lutego dla wszystkich prenumeratorów, po wniesieniu przez nich prenum. na I kwart. 1925 r. Co kwartał dodawać będziemy bezpłatnie tom Bibljoteki Myśliwskiej. Bibljoteka ta obejmie monografje zwierzyny, wskazówki dotyczące układania psów i rozprawy o broni myśliwskiej najlepszych autorów w Polsce, współpracujących we wszystkich pismach myśliwskich w kraju.

Oczywiście stworzenie takiej bezpłatnej Bibljoteki zmusza nas do podniesienia prenumeraty kwartalnej. Przy obecnej ilości prenumeratorów, (mimo iż posiadamy ich najwięcej ze wszystkich w Polsce pism łowieckich) doskonaląc stale „Przegląd Myśliwski" musimy podnieść prenumeratę kwartalną z 5 na 7 złotych. Inaczej musielibyśmy zrezygnować z dalszego doskonalenia pisma, a co za tem idzie i z jego rozwoju. Zwiększenie ilości prenumeratorów umożliwi nam w przyszłości zmniejszenie prenumeraty.

Stworzenie Bibljoteki dowodzi najlepiej, że na drogę rezygnacji nie wchodzimy, lecz apelując do poparcia naszych zamierzeń, pragniemy posta-

wić pismo możliwie na najwyższym poziomie tak pod względem artykułów jako też i ilustracyj.

Ażeby służyć wydatnie celom ideowym każde przedsiębiorstwo musi stanąć na zdrowych podstawach finansowych. Pismo w r. 1925 wysyłać będziemy tym z naszych czytelników, którzy uiścili pren. za I kw. 1925 r. Wobec podwyższenia jednak ceny prenumeraty z 5 na 7 złotych uprzejmie prosimy ich o łaskawe dopłacenie przed 15.I 2 złotych. Tym zaś, którzy wpłacili należność za cały 1924 r. prześlemy № 1 i 2 naszego pisma z prośbą o niezwłoczne uregulowanie najpóźniej do dn. 15.I należności za I kw. 1925 r.

Prenumeratorom, którzy zaliczki wysłanej w IV kwartale nie wykupili oraz prenumeraty zaległej za 1924 r. nie uiścili wstrzymujemy wysyłkę pisma aż do uregulowania całej zaległości.

Nie wątpimy, że Sz. Czytelnicy wierząc w nasze dobre chęci zrozumieją, iż bez uporządkowania spraw finansowych pisma, nie może być mowy o jego rozwoju.

W dniu Nowego Roku ślemy wszystkim naszym drogim Przyjaciołom, a wyznawcom św. Huberta, serdeczne pozdrowienia myśliwskie, życzenia wszelkiej pomyślności, oraz podziękowania za przesłane nam życzenia.

Redakcja i Administracja
„Przegl. Myśl. i Łow. Pol.“



O zmyślności dzikich zwierząt.

Nawiązując do artykułu w ostatnim „Przegl. Myśliwskim“ „O przeczuciach zwierząt“, chciałem opowiedzieć kilka wypadków, dowodzących ich niezwykłej zmyślności.

Długoletnie wędrówki po najmniej dostępnych i zaludnionych krainach Środkowej Azji, bądź to w celach naukowych, bądź też w pogoni za dzikim zwierzem, wyrobiły we mnie pewien kult dla rozumu i intuicji zwierząt. Godzinami, z zapartym oddechem, czając się za występem skalnym, przyglądałem się naprzykład, jak niedźwiedź, przyszedłszy na Pamiry z odległych o paręset kilometrów Himalajów, lub Hindukusza, w czasie kiedy smaczne tłuste łososie gromadnie pędziły z olbrzymich jezior Pamirskich do wpadających w nie rzek dla wyrzucenia ikry, mącił wodę w zakrętach rzecznych i łapami łowił łososie, które zjadał z największym apetytem. Z równym zachwytem śledziłem, jak głodne, nigdy nie karmione psy kirgizkie polowały na świstaki, wykazując przytem wyjątkową intuicję przy zdobyciu pożywienia z jaknajmniejszą dla siebie szkodą.

O wypadkach szczególnej tej intuicji wśród zwierząt na wolności opowiadałem niejednokrotnie we wspomnieniach z podróży, oraz we wspomnieniach myśliwskich, drukowanych w swoim czasie w „Przeglądzie Myśliwskim“.

Dziś chciałbym przytoczyć parę wypadków z życia zwierząt w niewoli. Naturalnie mam na myśli nie zwierzęta tresowane przez człowieka do popisów cyrkowych, wykształcenie których otrzymuje się długotrwałą pracą ludzką, lecz zmyślność do której zwierzę doszło samodzielnie.

Oto parę przykładów:

W 1908 roku brałem udział w pierwszej hiszpańsko-marokańskiej wojnie, jako główny przedstawiciel rosyjskiego czerwonego krzyża.

Po sześciotygodniowem oblężeniu przez Marokańczyków armji hiszpańskiej, która odeszła zaledwie na 120 klm. od morza i najniespodziewaniej była odcięta od połączenia z krajem, nadeszła odsiecz, która dała możność otrzymania poczty i nawiązania stosunków z Europą.

Gdy losy ekspedycji wojskowej wyjaśniły się,

pożegnałem armję hiszpańską i wróciłem do Ceuty unosząc najlepsze wspomnienia o dzielności armji hiszpańskiej i jej korpusie oficerskim, z którego 62% oficerów poległo w czasie walk.

Z Ceuty na statku hiszpańskim przejechałem do Barcelony, gdzie w oczekiwaniu na statek, który miał mię odwieźć na wypoczynek do Włoch, musiałem zabawić dni kilka.

Znajomych w Barcelonie nie miałem. Po zwiedzeniu miasta i pięknych okolic, dnie całe spędzałem w zoologicznym ogrodzie, urządzonym na terenie, na którym przedtem znajdowała się powszechna wystawa w Barcelonie.

W jednym z pawilonów przebywał słoń, przykuty za tylną nogę do słupa głęboko wkopanego w ziemię pośrodku podwórza ogrodzonego sztachetami i należącego do pawilonu.

W celu zabezpieczenia słonia od natarczywości zwiedzających, o parę metrów od głównego ogrodzenia znajdowało się drugie niższe, nie pozwalające publiczności drażnić zwierzęcia laskami i t. p.

Biedne słonisko, zobaczywszy ciekawych, opierało się piersiami o swoje zagrodzenie, wysuwało głowę i podnosząc trąbę wysoko, otwierało śmiesznie maleńką buzię, zapraszając publiczność do rzucania mu bułek, ciastek lub owoców, któremi publiczność chętnie go karmiła, lecz kąski te nikły bez śladu w ogromnych czeluściach brzucha, przyczem słoń cały czas zabawnie kiwał głową, machał trąbą i nawet podginał kolano, jakgdyby miał ochotę uklęknąć. Oczywiście, że część rzucanych przez publiczność smakołyków nie trafiała do celu i padała albo na podwórze pawilonu, albo też na przestrzeni pomiędzy 2-ma balustradami. Słoń nie zwracał na to najmniejszej uwagi.

Nakoniec torba rzucającego opróżniła się. Słoń widzi pustą torbę, robi jeszcze kilka ruchów trąbą, ale ponieważ z torby nic się nie pokazuje, więc schyla się i trąbą poczyna zbierać smakołyki, które spadły na ziemię, albo między sztachetami, lecz w odległości gdzie mógł dosięgnąć trąbą. Pozostają jeszcze smaczne kąski, leżące dalej niż długość trąby i tu następuje najciekawszy przejaw zmyślności słonia. Po kilku nieudanych próbach dostania smakołyków słoń się nadyma i z największą siłą dmucha na bułki, a te z impetem lecą do zewnętrznej barjery, za którą stoi publiczność. Widzowie, widząc zabiegi słonia, śmiejąc się zbierają ciastka i odrzucają je powtórnie słoniowi. Operacja powtarza się, aż wszystkie ciastka zostaną schwytane i pożarte.

O kilka pawilonów dalej, w maleńkim domku mieszkał najzwyczajniejszy rudy lisek. Przez podwórko, jak i przez wszystkie inne działki ogrodu, przeprowadzony był wartki strumień, szerokości około $1/2$ metra, którym płynęła ciągle świeża woda. Lisek leżał na brzuchu przy wodzie. Rzuciłem mu piernik kupiony w ogrodzie. Piernik był tak twardy, że sam go ugryźć nie mogłem.

Lisek wziął piernik w pyszczek, ale zorjentowawszy się, że piernik jest dla niego za twardy, popatrzył na mnie chytrze i puścił piernik na wodę. Naraz katastrofa! Wartki strumień unosi piernik w stronę sąsiedniej działki i pomimo gwałtownej pogoni, piernik przepływa do działki sąsiada.

Widzę liska, który zmartwiony cofa się do swego domku, powłócząc ogonem i nie patrząc na mnie.

Rzucam mu drugi piernik. Lis obwąchuje rzucony kawałek i chowa się do domku. Jestem przekonany, że rozgniewał się na mnie i już miałem odejść dalej. W tej chwili z domku wysuwa się lis, trzymając w pyszczku drewniany pręcik, któremi była wysłana podłoga domku.

Spojrzał chytrze na mnie, położył pręcik w poprzek strumienia, wrócił po piernik, ostrożnie spuścił na wodę, która piernik przycisnęła do prętu, i usadowił się na brzegu, złożywszy łapki na krzyż, i trzymając je w wodzie tuż około prętu Gdy piernik rozmoknął dostatecznie, lis zjadł go z apetytem. Byłem tak zdumiony rozumem tego stworzenia, że natychmiast przekupkę posłałem po mięso i uraczyłem niem lisa.

Jeszcze większe wrażenie wywarła na mnie zbiorowa praca zwierząt będących w niewoli.

W 1896 roku byłem mianowany pogranicznym komisarzem nad Amurem, na Dalekim Wschodzie. Podróż miałem odbyć naokoło świata, statkiem z Marsylji przez Japonję do Władywostoku. Bawiąc przed odjazdem w Petersburgu, spotykałem się często w owym czasie z księciem Czakrabonem młodszym bratem króla sjamskiego. Miły i sympatyczny książę niedawno przeszedł ciężkie zapalenie płuc, z powodu klimatu petersburskiego, a ponieważ odwiedzałem go często, więc prosił, żebym zboczył nieco z głównej linji po której biegną wszystkie statki, idące z Europy na Daleki Wschód, zajechał do stolicy Sjamu Bangkoku, doręczył posyłkę królowi i osobiście opowiedział o przebiegu choroby. W Colombo na Cejlonie przesiadłem się z ogromnego statku „Oceanique" na mniejszy „Ernest Simon" tejże kompanji i po dwóch dniach jazdy dotarłem do Bangkoku, gdzie spotykany byłem ceremonjalnie przez urzędników dworu królewskiego, którzy posadziwszy mnie na wspaniałem siodle na grzbiecie słonia, odprowadzili do zamku królewskiego. Po audjencji i honorowem przyjęciu, poszedłem jako osoba prywatna zwiedzać miasto,

a szczególniej pałace królewskie w których mieściły się święte białe słonie sjamskie. Pałace stały za miastem, prawie na brzegu rzeki Menam, po której z górskich lasów spławiano wielkie tratwy drogocennych belek. Przy wydobywaniu belek z wody pracowały 2 słonie. z których każdy miał na szyi półnagiego sjamczyka, kierującego słoniem zapomocą głosu oraz lekkiego klepania dłonią po głowie.

Słonie pracowały jak automaty, gdyż wydajność ich pracy polegała właśnie na tem, żeby robota przy wydobywaniu belek z wody, prowadzona była równocześnie z obu stron. Słonie brały grube łańcuchy, niechętnie wchodziły do wody z powodu dużej ilości drętw elektrycznych w rzece, podsuwały łańcuch pod belkę każdy ze swojej strony, równocześnie wynosiły łańcuch na brzeg i zaczepiały o hak i następnie ciągnąc równocześnie z obu stron wyciągały belkę na brzeg i układały ją odpowiednio.

Robota musiała być prowadzona zupełnie równocześnie, gdyż inaczej belka mogła się wysunąć z łańcucha.

Pamiętam, że parę godzin spędziłem nad brzegiem rzeki, przyglądając się tej pracy tembardziej, że, jak mówiłem, słonie słuchały tylko głosu i drobnej ręki swoich przewodników.

Gen. Bronisław Grąbczewski.

Warszawa, dn. 20/XII 24 r.

Ryś na wschodzie Polski.

Rysie nie są jeszcze rzadkością we wschodnich województwach Polski. Nie znaczy to jednak, aby nawet tam łatwo było o spotkanie z tym przepięknym zwierzem. Aby zapolować na rysia trzeba dużo wytrwałości, energji i poświęcenia dłuższego czasu na wyłączne tropienie tego drapieżnika. Ryś bowiem w porze, gdy jedynie możliwem jest polowanie na niego, t. j. w zimie, prowadzi żywot wiecznego tułacza, nigdzie się na czas dłuższy nie zatrzymując. Pozostawiając na śniegu swój charakterystyczny nierówny trop, o śladach łap okrągłych, bez odcisku pazurów — przebiega ryś ogromne przestrzenie po głuchych, zapadłych lasach Wschodniej Polski, łapiąc ptactwo, a przeważnie zające—bielaki. Lud miejscowy nazywa go „rosomachą", co mogłoby być dowodem, że przed niedawnymi stosunkowo laty zamieszkiwał tu rosomak prawdziwy (gulo borealis), jak to zresztą twierdzi Wład. Spausta w swem wspaniałem dziele „Na tropach".

Lubiłem zawsze bardzo tropić rysie i nie zaniechałem żadnej okazji, gdy gajowy meldował mi zrana, że ryś po śnieżnej poroszy wszedł do jego rewiru, czyli, jak tu nazywają, obchodu.

Rysie na wschodzie Polski trzymają się przeważnie w lasach świerkowych, gęsto podszytych. Są to zarazem siedliska zająca—bielaka i jarząbka. Można też tu nieraz w zimie natrafić na głuszce. zwłaszcza podczas wielkich mrozów. Bielak, głuszec i jarząbek są właśnie specjalnym objektem zabiegów leśnego rabusia w stronach, gdzie sarny, skutkiem obfitości wilków, są rzadkością. Zawsze na tropach rysia znajdywałem szczątki tej zwierzyny.

Poluje się tu na rysie albo obławą, albo z psami. Pierwszy sposób jest ogólnie znany. W przeciwieństwie do wilka, którego zbliżanie się do stanowiska myśliwego, o ile śnieg nie jest bardzo miękki, słychać zdaleka, ryś zjawia się przed myśliwym, cicho i niespodziewanie, jak duch. Do wypędzenia rysia na linję strzelców wystarcza często jeden naganiacz idący tropem, przy obstawieniu flanków chłopcami lub chorągiewkami. Polując z psami trzeba również przekonać się, czy zwierz zatrzymał się niedaleko. Puszcza się w takim razie psy na świeży trop. Zwykłe ogary gonią rysia z wielką zajadłością i, o ile śnieg jest miękki i głęboki, zatrzymują go po paru kilometrach gonu. Ten rodzaj polowania uprawiałem przeważnie z zamiłowaniem, lecz nie zdarzyło mi się nigdy widzieć, aby ryś schronił się od psów na drzewo, chociaż zwykłe ostoje rysia obfitują w stare osiki, dęby i inne duże, rozłożyste drzewa. Jest to tem dziwniejsze, że ogólnie przypisują rysiowi wielką łatwość w łażeniu po drzewach, a kiedyż miałby on lepszą sposobność do użycia tego sportu, jak zapadając po głębokim, miękkim śniegu, naciskany przez dokuczliwe psy. A jednak zdarzało mi się nieraz widzieć rysie, zawsze w głębokim, obfitującym w stare drzewa lesie, otoczone przez psy i zajadle walczące z niemi, lecz zawsze na ziemi. Powiem krótko: nigdy nie widziałem rysia na drzewie.

Drugą osobliwością łowów rysich jest płeć

zabijanych w naszych stronach rysiów. Są to prawie bez wyjątku samice. Osobiście nie zabiłem ani jednego samca i nikt z moich znajomych nie zabił przy mnie żadnego samca rysia. Od zarządzającego dużemi lasami w Mińszczyźnie, wielkiego myśliwego i zupełnie wiarogodnego człowieka słyszałem, że na dwadzieścia kilka rysiów, zabitych przy nim w tamtejszych lasach — były tylko dwa samce*). Z tego wynikałoby, że w rodzie rysim ogromną przewagę ma płeć piękna i że o zamążpójście jest u nich również trudno, jak śród ludzi w czasach powojennych. Tem chyba można wytłumaczyć względną rzadkość rysia, bo z myśliwym, dzięki swej ostożności i wędrownemu usposobieniu—rzadko się spotyka.

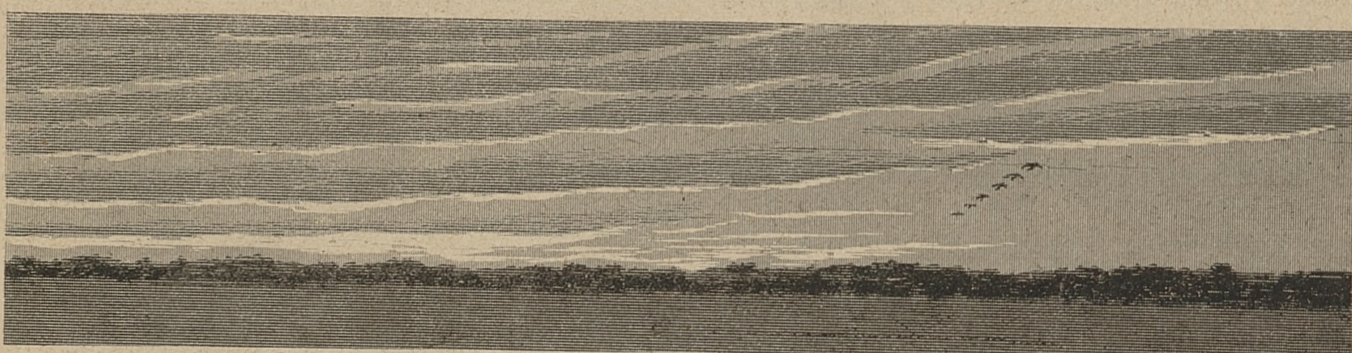
Śród miejscowych nemrodów panuje przekonanie o licznych odmianach miejscowego rysia, różniących się wielkością, a także ubarwieniem i ilością czarnych centek na futrze. Prawdopodobnie o różnicach tych decyduje głównie wiek zwierza. Możliwą też jest rozmaitość zabarwienia w granicach tej samej odmiany, co się daje również zauważyć u samców bataljonów (Machetes pugnax) i u słonek. W każdym razie zoologja odróżnia tylko jedną odmianę naszego rysie, gdy inne odmiany, jak np. ryś północny zasadniczo różnią się od niej nie tylko zabarwieniem futra i ugrupowaniem czarnych centek.

O niebezpieczeństwie łowów rysich opowiada się dużo. Nieśmiertelny wieszcz uwiecznił to nawet w „Panu Tadeuszu". Chociaż zdarzało mi się nieraz widzieć ranne rysie atakowane przez myśliwych i psy — raz tylko jeden byłem świadkiem następującego zdarzenia.

Ranny na stanowisku przez brata mego ryś zaszył się w młody gąszcz sosnowy, mocno podszyty gęstą świerczyną. Zagajnik był tak gęsty, że o użyciu w nim strzelby nie mogło być mowy. Ponieważ poturbowane już przedtem przez tegoż rysia psy nie chciały włazić w gąszcze — postanowiłem sprobować osobiście wypłoszyć stamtąd rysia i wraz z gajowym, mając w ręku rewolwer Browninga zacząłem się przedzierać przez gąszcze, idąc śladem rysia. Wtem gajowy, przepychający się o parę kroków odemnie, krzyknął: ryś rzucił mu się na piersi; lecz gajowy silnym ruchem zrzucił go z siebie prawie pod same moje nogi. Dobiłem go kilkoma strzałami z rewolweru. Gajowy miał podarty kożuch, lecz ran nie odniósł żadnych. Tygrysy więc naszej strefy nie są zbyt straszne, mimo to polowanie na nie daje myśliwemu dużo niezrównanych wrażeń i pozostawia bardzo miłe wspomnienie.

J. J. B.

*) W zeszłym roku wspaniałego rysia samca w Wiado—Tupicach zabił znakomity myśliwy p. J. Błeszyński (Przyp. Red.).



Z wabikiem na lisy.

Ten rodzaj polowania, jako wymagający wielkiej już znajomości natury, a należący do jednego z najtrudniejszych, ze względu na niezwykłą ostrożność lisów, bystrość wzroku i połączoną z nim czułość powonienia tych zwierząt, dostępny jest tylko dla szczerych miłośników łowiectwa i to po kilkunastoletniej, jeśli można się tak wyrazić, praktyce myśliwskiej.

Spróbować jednak każdy może, a jeśli będzie przestrzegać ściśle niniejsze wskazówki i nie zapomni o żadnym z warunków tutaj podanych, a stwierdzonych przez piszącego tylko praktycznie, w dodatku jeśli nie pozwoli unieść się gorączce myśliwskiej, która przy tym polowaniu występuje może łatwiej niż przy innym, jeśli potrafi trzymać nerwy swoje na wodzy i zachowa do końca

t. j. do momentu strzału spokój, — mogę ręczyć za powodzenie.

Najtrudniejszy i najmniej uchwytny, a niedający się zapomocą słów wyrazić dźwięk wabika stanowi, dla mnie osobiście, przeszkodę nie do pokonania, przy opisywaniu tego polowania.

Kto nie słyszał sam rozpaczliwego głosu mordowanego zająca, lub komu wytrawny, stary myśliwy nie „zagrał“ na wabiku, aby młodszego nauczyć ten oczywiście musi czekać sprzyjającej okazji, aby wziąć lekcję od „profesora“.

Mało jest bowiem posiadać najbardziej precyzyjny instrument, jakim jest wabik, — trzeba jeszcze umieć nim władać.

Jest to więc kwestja, której pomimo najszczerszej chęci podać tutaj nie mam możności, ze względu na ubogość ludzkich sposobów porozumiewania się zapomocą pisma.

Zaznaczam, że osobiście nie wabię nigdy, ad finem „na zająca“. Jeżeli lis zbliży się na jakieś 150—200—250 kroków przechodzę na głos myszy, co robić trzeba b. umiejętnie (bez wabika, i nie smokać wargami, które właśnie wtedy ze względu na mróz i tremę mogą zesztywnieć i zawieść przynosząc przykre rozczarowania i dla lisa i dla wabiącego).

Naśladować pisk myszy należy w ten sposób, aby przykładając język do zaciśniętych zębów (siekaczy górnych), przy zlekka rozchylonych wargach, wciągać powietrze przez najmniejszą szparkę, regulując przytem długość dźwięku przytykaniem języka do wewnętrznej strony zębów.

Ten sposób jest niezawodny, a głos jest zawsze jednakowy, gdy przy wabieniu wargami, dla wyżej powiedzianych powodów, łatwo jest sfałszować i zamiast pisnąć, smoknie się tak głośno, że tęgo leniwe konie ruszyłyby kłusem.

W takim wypadku lis jest zawsze stracony.

Jeśli komuś wabienie „na mysz“ zapomocą zębów nie udaje się, można probować mysiego wabika, o który w warszawskich składach broni nie trudno.

Tyle co do schematu wabienia o którym szczegółowo będę mówić dalej.

Tymczasem rozpatrzmy warunki w których najłatwiej jest zdobyć upragnioną zwierzynę.

Teoretycznie rzecz biorąc, lis powinien reagować na wab, o każdej porze roku, inaczej jednakże przedstawia się ta sprawa w praktyce.

Natura musi sama przyjść z pomocą człowiekowi, inaczej zadanie jest zbyt trudne do rozwiązania.

Wabić w lecie, lub wczesną jesienią zupełnie nie można, chociaż lis na wabia idzie, szczególniej liszka w okresie karmienia małych, stosunkowo łatwo reaguje na głos zajęczy, jednak trudności przedstawiają się wtedy w samym terenie. Liście i trawa nie pozwalają myśliwemu patrzeć i skutecznie widzieć z większej odległości, a lisa trudno znów posądzać o zbytek naiwności, aby podchodził na 10 kroków.

Polowania tego rodzaju latem i jesienią, jeśli pragnie się skutecznie polować w zimie, radzę nawet zaniechać zupełnie, gdyż rezultaty, przy najlepszych nawet warunkach, są znikome, a lis taki zwabiony i niezabity przez długie miesiące pamięta „myśliwski kawał“ i b. możliwe, że w odpowiedniej już porze, nauczony doświadczeniem nie będzie wcale reagować na wabik.

Najodpowiedniejsze miesiące na polowanie, to koniec mroźnego listopada, grudzień i styczeń, a więc ten okres, kiedy lis jest zgłodniały i kiedy na grożące mu niebezpieczeństwa, pod przymusem głodu mniej zwraca uwagi.

Więc styczeń, — śnieg.

Słońce odgrywa tu niewielką rolę, chyba o tyle tylko, że widać rabusia nieco lepiej.

Pogoda jednak potrzebna, bo wiadomo przecież, że w zamieć lub wielką słotę lis też lubi schować się do nory skąd nie wychodzi przez dobę, a nawet i dłużej.

Najodpowiedniejszemi godzinami są godziny ranne, kiedy lis zaczyna myszkować w bardziej odkrytych miejscach, a także w szczerem polu. Z nocy głód też jest wzmożony, bo trudno jest „upolować“ cośkolwiek, gdy za wyjątkiem śpiącego ptactwa wszystko w ruchu.

Rano najchętniej podejdzie też lis na wabia.

Ważnym warunkiem jest wybranie odpowiedniego terenu, który powinien być (mówię o najdogodniejszym) najbardziej płaski, a to dlatego, żeby zbliżającą się sztukę można było dobrze obserwować i to nie dla wrażeń estetycznych, ale z potrzeby.

Ubranie, oczywiście odgrywa tu ważną rolę. Wszelkie więc jaskrawe kolory, lub też b. ciemne, na tle śniegu są niepożądane.

Ubiór głowy bezwarunkowo powinien być biały.

W Rosji, gdzie śniegi są wspanialsze od naszych, poluje się prawie zawsze w jasno-szarym, a nawet białym ubraniu włączając i białe, filcowe buty.

Ze względów ekonomicznych można uszyć sobie na zwykły myśliwski szary kostjum, kaftan z materjału bieliźnianego, w kształcie luźnej sutanny niezapominając o przecięciach w miejscach kieszeni, które mogą być potrzebne, chociażby przy zakładaniu świeżych naboi.

W szczerem polu wabienie jest o tyle utrud-

nione, że braknie naturalnej kryjówki, przytem najmniejszy ruch ze strony myśliwego jest b. widoczny dla wytężonego wówczas wzroku i słuchu lisa.

Zasiadać w polu radziłbym tylko wtedy, gdy na chłopskich miedzach, porośniętych zwykle wysokiemi trawami, gdzieniegdzie krzakami jałowcu, a nawet „gdzie zrzadka polne grusze siedzą“, nawieje dużo śniegu tworzącego fantastyczne groty i zagłębienia.

W takim naturalnym zagłębieniu można usiąść wygodnie będąc niewidzianym, samemu zaś widząc dobrze i daleko.

Lis w polu jest ostrożniejszy niż w lesie, a najmniejszy szmer wzbudza w nim podejrzenia zasadzki, dlatego też polowanie to jest trudniejsze i jeśli jest inny teren należy pole omijać.

Las-starodrzew, choć łatwiejszy od zwartych gąszczy zagajników też nie jest najodpowiedniejszem miejscem, ponieważ nastręczają się tu trudności obserwowania podchodzącego lisa, co jest konieczne przy bliższym dystansie.

Zagajniki kulturalne, a więc siane pomijam, gdyż wabienie w nich jest zwykle bezkuteczne.

Najlepszym i najodpowiedniejszym terenem jest brzeg lasu, a nawet przylegające zwykle dzikie, rzadkie krzaczki (sosna, jałowiec, brzoza), na piaszczystej glebie rosnące, a leżące na drodze rannych wędrówek rabusiów, wymykających się z lasu na myszkowanie w pole.

O ile lisów jest dużo, a takie miejsce myśliwy znajdzie w przeciągu godziny, wabiąc ze znajomością rzeczy można zabić 2—3 sztuki.

Na Litwie i Białorusi o takie tereny nie trudno, a i zwierzyny omawianej nie braknie tam nigdy, szczególniej po wojnie miejsc takich b. dużo, ponieważ brzoza, sosna, a nawet świerk rozsiały się na wielkich przestrzeniach Mińszczyzny po polach podleśuych, przez czas wojny ugorujących.

Podchodzić na takie miejsce zwykle należy z przeciwnej strony spodziewanego wyjścia lisów, a więc jeśli godzina jest b. wczesna, jeszcze szara, to od pola, aby nie robić niepożądanych śladów przez które musi iść wabiony lis.

Nie mówię już nic o papierosach,

Sprzyjający wiatr jest rzeczą pożądaną, jeśli zaś jest odwrotnie, to należy tak lokować się za krzakiem, aby w każdym razie niemiły dla zwierza ludzki odwiatr rozbijał się o ów krzak: zmniejsza to jego esencjonalność, dzięki czemu staje się bardziej nieuchwytny.

Po wybraniu takiego miejsca i po wynalezieniu odpowiedniego krzaka, który nie powinien być za wysoki i zanadto gęsty, aby uniemożliwiał strzał, należy wydeptać mocno w śniegu płaszczyznę $\frac{1}{2}$ mtr. kwadratowego, a to w tym celu aby przy „zmianie nogi“ nie wywołać skrzypnięcia.

Strzelbę nabić już przedtem, ruszać się jaknajmniej, a po zajęciu stanowiska nie wabić wcale przez 10 - 15 minut, albo zaczynać od myszy.

Bywa bowiem tak, że cicho podszedłszy na miejsce nie płoszy się myszkującego w pobliżu lisa i ten za chwilę sam wychodzi, co niewiem czyby uczynił, usłyszawszy zbliska zajęczy wabik.

Aby uniknąć niepotrzebnych ruchów przy wyjmowaniu wabika z ust należy uwiązać go na sznureczku do dziurki w klapie i w razie potrzeby wypchnąć z ust językiem.

Robi się to w tym momencie, gdy z zająca przechodzi się na mysz i kiedy przy danej sztuce wabik już jest zbyteczny.

Mistrze, wabiący gardłem, chętnie również posługują się wabikiem, ponieważ bez instrumentu tego wabienie jest męczące, przynajmniej dla mnie. (Do mistrzów się nie zaliczam).

Wabić trzeba urywanemi tonami i wystrzegać się zbytniej gorliwości, t. j. nie powtarzać głosu za często. To zniechęca lisa.

Sam krzyk można porównać w życiu ludzkiem ze spazmatycznym płaczem niemowlęcia z tą jednak różnicą, że gdy dziecko zanosząc się od płaczu nie przerywa go, a tylko zwiększa i zmniejsza siłę głosu, — zając posiada w głosie interwały, które należy skrupulatnie zachowywać naśladując.

Przypuśćmy teraz, że lis po kilkakrotnym głosie ukazał się nam na odległość 400—500 kroków.

Oczywiście, serce zabije mocniej myśliwemu i jeśli nie potrafi on opanować swych nerwów zachowując absolutny spokój, — kity nie dotknie.

Lis umknie.

Cała uwaga i rozwaga powinny być skupione teraz na lisie.

Normowanie odpowiednie wabienia zależy od zachowania się lisa.

Zasadniczym warunkiem i b. ważnym o którym nie wolno zapominać jest ten, aby nie wabić w chwili kiedy lis słucha.

Idąc na głos zajęczy, a później na mysi lis przystaje co chwila, ażeby zorjentować się w kierunku i prawdopodobnie, stojąc słyszy lepiej niż podczas chodu.

Jak tylko lis ruszy znowu z miejsca i kieruje się w naszą stronę, a idzie zwykle dyndając, trzeba mu pozwolić zbliżać się bez orjentacji t. j. bez wabienia, gdyby jednak, co rzadko bywa ze względu na wrażliwość słuchu lisiego, mylną sobie obrał drogę, zawabić urywanie, ale raz tylko i to przyciszonym głosem.

Jeśli to będzie umiejętnie wykonane bezwąt-

pienia lis zawróci w należytym kierunku i już może przejść nawet w galop.

O ile polującemu dostateczna wprawa pozwala określić, że pisk myszy na danym dystansie dolatuje do uszu lisa — trzeba zacząć wabić na głos myszy, ale również nie należy piszczeć raz za razem, jak ja nazywam wabić gorliwie, co równoznaczne jest z brakiem tej umiejętności.

Lis, usłyszawszy mysz, zostaje odrazu zelektryzowany i zdecydowanie podchodzi do myśliwego na b. dobry strzał.

Miałem strzały w swojej praktyce na 17 kroków.

Gdy lis zbliża się „na mysz“ również należy przestrzegać warunku, aby nie wabić w chwili kiedy ten nadsłuchuje, ale pisnąć wtedy, gdy jest w ruchu.

Po zabiciu pierwszej sztuki, należy znów jak na początku poczekać spokojnie 10—15 minut i można zacząć wabić na nowo.

Wabienie powtórne z tego samego miejsca jest skuteczne tylko wtedy, gdy poprzedni lis został zabity na 20—25 kroków, w przeciwnym bowiem razie zdarzały mi się wypadki, że świeża sztuka wychodziła b. prędko, dotarłszy jednak (przeważnie idzie po śladach poprzedniego) na 50—60 kroków od miejsca gdzie był strzelany pierwszy lis, czując widocznie krew „rodzinną“ zawraca również błyskawicznie, jak po chybionym strzale.

Jak już wspomniałem, należy unikać robienia niepotrzebnych śladów, a więc po strzale nie schodzić ze stanowiska, jeśli ma się zamiar wabić następną sztukę.

Niekiedy zachodzą tak sprzyjające okoliczności, że można wabić tylko na głos myszy, bez naśladowania zająca.

Bywa to zwykle wtedy, gdy myszkującego lisa podejdzie się w cichy, pogodny, mroźny ranek, na 200—300 kroków będąc przez niego niedostrzeżonym.

Jaknajszybciej, w takich wypadkach, należy uklęknąć za pierwszym lepszym krzaczkiem, lub nawet za naturalnym pagórkiem, wyniosłością a w braku takich na płaszczyznie i zawabić.

Nie miałem zdarzenia, aby lis taki mi uszedł.

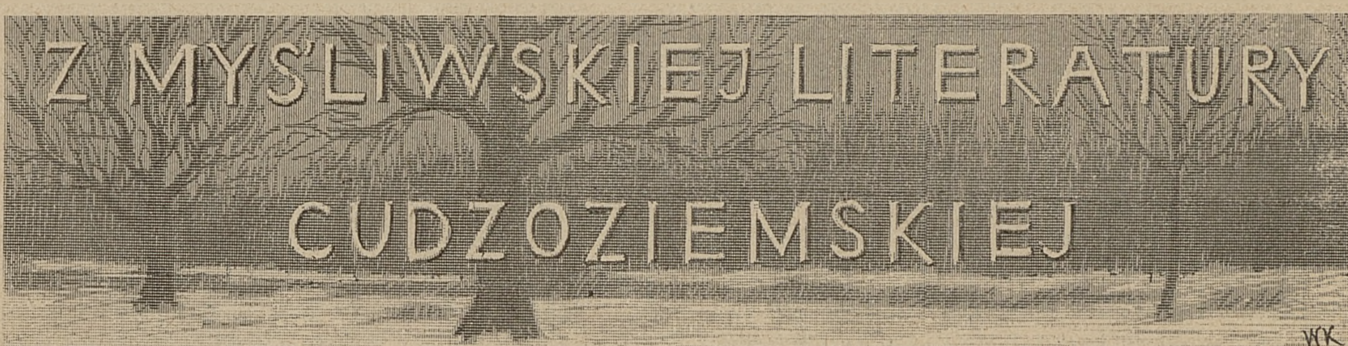
Zdaje się, że tak szczegółowo podałem wypróbowany przezemnie sposób, iż nie pozostaje nic łatwiejszego, jak przeczytawszy uważnie powyższe, zabić odrazu dwa, trzy lisy.

Muszę się jednak zastrzec, aby nie posypały się pod moim adresem mocne myśliwskie przekleństwa, młodocianych szczególniej czytelników, przekleństwa dzięki którym mógłbym conajmniej nic w sezonie nie upolować, czego znów serdecznie życzę, wprawdzie nie po myśliwsku, wszystkim kłusownikom.

Jeśli ktoś miłuje takie właśnie, prawdziwie myśliwskie wrażenia jakich dostarcza ten rodzaj polowania i jeśli zechce uczyć się tego sposobu, muszę go przygotować do najcięższych choćby rozczarowań, które go bezwątpienia przy odbywanej „praktyce“ spotkają.

Aby skutecznie wabić i zabić, trzeba umieć opanować nietylko wzruszenie, jakie towarzyszy temu rodzajowi łowów, ale wniknąć całą swą duszą w tajniki natury, tak głęboko, aby stanowić niecywilizowaną i nierozłączną z nią całość.

Wtedy dopiero, dla skrócenia zmudnych i trudnych osobistych experymentów, mogę śmiało polecić niniejszy opis, jako oparty na praktycznych spostrzeżeniach przeżytych jednak wpierw sercem, a potem umysłem. *Jerzy Dylewski.*



HERMANN LÖNS.

Hermann Löns należy na polu łowieckim do najpopularniejszych przedwojennych pisarzy niemieckich. Jego powieści i nowele umieszczane były w najpoczytniejszych pismach, a drukowane w książkach rozeszły się w setkach tysięcy egzemplarzy. Löns nie tylko bawi czytelnika i pięknością obra-

zów przyrody zachwyca, ale jednocześnie i zadziwia znajomością prawidłowego łowiectwa. Osiąga on efekty artystyczne, posługując się małemi środkami, krótkiemi słowami, niejako szkicując węglem tylko, podpatruje, jako bystry znawca tajniki przyrody i życia zwierząt, uczy nas poznać je, podziwiać i pokochać. We wspomnieniach myśliwskich nie prowadzi nas do egzotycznych dżungli, lub lodowców Kamczatki, nie bije słoni ani białych niedźwiedzi, ale prowadzi czytelnika do swojej ukochanej rodzinnej puszczy i tam z jej tajników odsłania nam obrazy swojskie i domowe. Czytając to wydaje się, iż jesteśmy w krainie baśni, iż las ożywiły znów gnomy i króle olch, iż „żyje skała“ i „kruk do ciebie przemawia“, iż bajka stając się prawdą, tworzy jakiś „sen nocy letniej“.

Niestety, najwięcej pod tym względem charakterystyczne nowele są trudne, pod pewnym względem nawet niemożliwe, do tłomaczenia. Löns piszę często djalektem, stylem odrębnym, jemu tylko właściwym, a nadto tworzy nowe wyrazy, które pragnąc naszemu językowi uprzystępnić, trzeba by posiadać jego zdolności i pomysłowość, trudną do oddania w gwarze łowieckiej polskiej, niestety jeszcze mało rozwiniętej. Przystąpiwszy do tej pracy, wybrałem z jego nowel najłatwiejsze do tłomaczenia, a zamiarem moim było, nietylko przyswoić skromnej naszej literaturze łowieckiej rzeczy nowe i ciekawe, ale i jednocześnie wskazać drogę do tego powołanym, jakimi skromnymi środkami wielkie dzieło można wywołać w jaką formę ją ująć, i ze sztuką myśliwską łącząc, stworzyć rzeczy artystycznie piękne.

Wł. Janta-Połczyński.

ŁOWIEC-ZAWADJAKA.

Nowela Hermanna Lönsa.

Słuchajcie:

Bo o tem, sądzę, nie wiecie,
Że wszystko ma rozum swój
Nic nie jest martwem na świecie,
Żyje skała, las i zdrój...

Zamknij usta, otwórz oczy
Szukaj światła wszędzie...
Życia prawda cię otoczy
Tajemnic nie będzie.

Znajdziesz cuda, rzeczy nowe,
Których nie znałeś ty ani świat,
Poznasz nagle, że ma mowę
Zwierzę i robak i każdy kwiat...

A natenczas cię pouczy,
Co otacza nas,
Co kos śpiewa, sowa huczy,
O czem szumi las...

W lesie działo się coś niezwykłego. Co to było nikt nie wiedział, ale w każdym razie nic dobrego. Było to złe, co nienawidziło spokoju — kochało zniszczenie. Wszystkie kozły z tej strony „Lisówki“, rzeczki przerzynającej knieję wiedziały o tem. Widłakowi z „Buczynowej góry“ rozdarło lewą łopatkę. Szóstakowi z ostępu trzeciego brakowało jednej świecy i prawej u parostków odnogi. Kozioł z „Olszowych moczarów“ kulał na prawą cewkę. Czteroletniemu krzyżakowi z brzezinowego porębu wisiał spory kawał sukni na combrze. Jak to się stało żaden z nich dobrze nie wiedział. Żerowali oni spokojnie ze swojemi kozami. Nagle załomotało w gąszczu coś wielkiego, brunatnego i wypadło z łoskotem, przewróciło ich w jednym uderzenia impecie i popędzając odbite kozy do gąszczu, znikło jak zły duch leśny. Porażki i rany swoje kozły zapomniały, ale nie mogły zapomnieć narzeczonych. Czteroletni krzyżak z silnymi długimi kończynami nie mógł dłużej wytrzymać. Nic mu nie smakowało, nie miał apetytu ani na młodą trawkę, ani na koniczynę i liście jeżyn. Dzień i noc chodził po lesie myśląc o nich.

Pewnego poranku, gdy po krótkiej burzy drobny i ciepły deszcz padać zaczął, chwyciła go szczególna tęsknota, powróciła odwaga.

Na wierzbie przed lasem rosnącej obrywając liście i korę naostrzył parostków sztylety, cewkami skopał ziemię, że mech pryskał wraz z murszem. Natenczas wszedł do kniei. Posuwał się uważnie i z ostrożnością. Zając, którego wypędził z kotliny przestraszył go, zabiło mu znów serce, gdy wypłoszył gołębia z zarośli. Ale następnie podniósł głowę odważnie cewkami podrzucił opadłe liście, zerwał parostkami łyko z dąbczaka.

Nagle zniknęła obawa, zapomnianą została ostrożność. Z drągowiny doszedł go głos, który poruszył serce, głos pieszczotliwy pożądliwej tęsknoty. Była to ona, której tak dawno nie widział, jego mała śliczna dziewicza sarenka, — a to co z ziemi jednocześnie doleciało — był to zapach jej tropu.

Z rozwartemi chrapami postępował za tropem, przez starodrzewie, przez drągowinę, do olszyniaka przy rzeczce „Lisówce“. I tam też ujrzał jej wysmukłą postać jasnoczerwoną na zielonym tle liści maliniaka.

Z impetem skoczył ku niej. Ale gdy się już przy niej znajdował, poruszył się z prawej strony brunatny pień brązowy, a tam stał stary, wysoki, silny, ciemnobrunatny kozioł z nieomal białą glo-

wą, nad którą ośm białych, ostrych, długich kończyn świeciło w zapadającym świetle słonecznym. Był to ósmak zabijaka, który każdego roku w tym rewirze w końcu lipca się ukazywał, a znikał w połowie sierpnia. Na chwilę czterolatkowi przebiegło przez krzyż zimno i gorąco, następnie podrzucił głowę hardo, wyłupił świece, aż białka djabelsko zaświeciły, pochylił głowę, z długimi białymi srogo świecącymi sztyletami, podrzucił cewkami mech i liście i wydobywając zły, głęboki bek, w szybkim biegu zbliżał się do rywala. Ósmak w pierwszej chwili zdumiał się zupełnie. Taka bezczelność nie zdarzyła mu się jeszcze. Czterolatek, który mu się śmiał przeciwstawić? jemu, który posiadał ośm kończyn? Śmieszność! Z lekceważeniem wyszedł przeciwko niemu, ironiczny grymas zawisł mu na czarnych chrapach. Obojętnie zniżył głowę, jednem uderzeniem pozbędzie się tego głupca!

Ten wszakże miał się na baczności. Skoro ośm sztyletów znalazło się tu przed nim, skoczył w bok i uderzył błyskawicznie z dołu do góry. Zabrzękło i zabrzmiało głucho, skoro obaj od siebie odstąpili i naprzeciw siebie dysząc i świszcząc, stanęli, wisiała ósmaka lewa świeca jako krwawa brzydka masa z jamy ocznej.

Kos, który w gałązkach nad walczącymi ćwiczył się w gwizdaniu zamilkł i odleciał ze zgrozą. Na dole działy się bowiem rzeczy nadzwyczajne, unosił się wir liścia i mchu, gałęzi i chwastów. Dał się słyszeć skrzek głośny i straszliwy, a potem łoskot, jakoby dzięcioł bił dziobem w próżne drzewo, a w końcu nastąpiło charkotanie.

Wir liścia opadł nareszcie, a z niego wynurzył się ósmak. Jego boki pracowały, płuca gwizdały, a z piersi wydobywało się głębokie dyszenie. Bezustannie potrząsał głową, z której z lewej strony spływała czerwona farba. Ale i jego ośm kończyn było czerwonych.

Gdy się pojedynek rozpoczął, młoda siuta odskoczyła w popłochu; teraz ósmak podążył za jej tropem, gdy przed nim zbiedz usiłowała zawrócił ją, uderzył w żebra i zapędził w świerki.

Zaraz potem przemknął się zielony cień przez knieję, z poza pnia się wynurzył, schował się za drugim, znowu się ukazał i zniknął. Głośno wymyślała kraska duchom leśnym, a sówka na dębie wytrzeszczyła ślepie i potrząsnęła grubą głową, dziwiąc się i myśląc, iż polować w cichości prócz niej nikt nie potrafi.

Tym zielonym duchem był człowiek, młody jasnowłosy i niebieskooki mężczyzna ze śniadą twarzą i rękoma, leśnik. Był zły – nie, był wściekły. Przed chwilą bowiem zauważył, iż dwanaście ośmioletnich jodeł kanadyjskich, które się pomiędzy świerkami znajdowały i dziesięć jarzębin przez kozła doszczętnie skorowane zostały. Oprócz tego nie mógł też być w różowym humorze i z innych powodów. Polecono mu do pałacu kozła dostawić. Od świtu był na nogach i w lesie, obecnie była dziesiąta, a prócz starej kozy nie widział nic zgoła. Czy tylko tego znów ten ósmak nie jest przyczyną? Od trzech lat uprzątał mu knieję o tym czasie ze wszystkich kozłów. Okulawiał na podchodnym za nim, grzbiet sobie skrzywił na zasiadkach. Pięćdziesiąt nocy nieprzespanych, sto wieczorów i poranków na czatach spędzonych poświęcił, — wszystko zdało się psu na budę.

Gwałtownie pociągnął z fajeczki, aż dym białą długą wstęgą przewinął się przez drzewa. Nagle zwróciły się oczy jego ku ziemi. Dwa tropy znaczyły się do gęstwiny, drobnej młodej siuty i wielkiej zupełnie starej sztuki. Zniżył twarz głęboko aż do ziemi, wielkie jego oczy zaświeciły radośnie: na tropie prawej przedniej cewki brakowało końca...

W chwili gdy się podnosił, posłyszał szmer z prawej strony. Szmer ten powtarzał się i mieszał z charkotaniem. Leśnik postąpił krok jeszcze jeden, jak kot się skradając, jeszcze kilka szybkich poruszeń i ukląkł, chwycił przebitego kozła za parostki, sięgnął prawą ręką do kieszeni, wydobył z niej coś błyszczącego, szybkie poruszenie do piersi kozła, ten rozciągnął się i spuścił głowę w zielony mech, krwawą rosą skropiony.

Młody człowiek starannie obejrzał kozła, odwróciwszy głowę ofiary i spostrzegłszy jak rozdarte paprochy na łokieć wydobywały się z brzucha. „Hycel“ zamruczał „raz, dwa, trzy, sześć, ośm, dziesięć, czternaście razy go przebił“. Ale teraz koniec, mój kochanku! Dzisiaj i ty musisz legnąć, albo ja się nie znam na myśliwskiej sztuce...“

Zabrał kozła i wyniósł w pole, tam wypatroszył, zakopał patrochy i powiesił go na świerku. Następnie wielkim łukiem obchodząc powrócił nad brzeg „Lisówki“.

Przed wielką buczynową siewką przygotował sobie stanowisko, zamiótł po cichu wszelkie opadłe liście i wyzbierał starannie każdą suchą gałązkę. Następnie wyszukał pół tuzina równych listków buczyny, przyciął je prawidłowo i położył przed siebie na plecaku. W końcu usunął jeszcze cicho długą dobrze zaliścioną gałąź i zatknął w ziemię przed swojem stanowiskiem.

W lesie było cicho jakby makiem zasiał — żaden listek się nie poruszał. Słyszeć można było grzebiące mrówki i chrzest skrzydeł wielkiej libelli, która polując wznosiła się nad rzeczułką. Raz zagruchała turkawka, myszołów zakwilił wysoko ponad koronami drzew, mysz zaszeleściła w opadłym liściu. Młody leśnik ze spokojem dokończył fa-

jeczki, naciągnął ostrożnie kurki gwintówki. uniósł kolana i położył broń gotową na łonie. Następnie wziął listek z plecaka i do warg przyłożył.

Zabrzmiał głos miękki, cichy, pieszczotliwy, tęskno pożądliwy pisk młodej siuty, raz, dwa, trzy...

W pobliżu w gąszczu siedział stary kozioł w wygrzebanym łożysku, obok niego sarenka. Skoro nadleciał cienki, delikatny ton wabika, poruszyły się łyżki ósmaka. Minęło tak ćwierć godziny i znów odezwały się ponętne głosy. Ósmak powstał—ale nieraz już w życiu swojem zrobił przykre doświadczenie, że poza pieszczotliwą ponętą miłości czekał ołów śmiertelny; w jego młodych latach, gdy pożądliwość z gąszczu go wyparła nie jedna kula gwizdała nad nim, nie jedna obtarła go nawet. Chętnie byłby sobie kochane zwierzątko co tam piszczało z bliska obejrzał, bo był to głos zupełnie mu znany. Ale niezawodnie znajdzie ją jeszcze i tak gdy się zciemni, a jeżeli nie, też nic tak dalece złego— jego mała też jest ładna i młoda.

Nagle wszakże wstąpiło w niego nowe życie, gdyż teraz zabrzmiał strachu i wstydliwości pełen żałosny głos dziewiczej sarenki. Co, czyby się rzeczywiście znów znalazł taki, któryby mu jego praw zaprzeczył? Do jego lasu, do jego własności, którą było wszystko co zdobyła co było piękne i smaczne!

Pomału przesuwał się przez świerki. Co kilka kroków stawał i wypatrywał. Ale gdy krzyk strachu głośniej zabrzmiał, gdy wyraźnie tętent i atak rywala posłyszał, natenczas wyszedł z gąszczu całkowicie.

Leśnik, który jak wściekły bił kapeluszem suche, na ziemi leżące gałązki, gdy od świerków doleciał go szmer delikatny, zatrzymał się nagle. Lekki uśmiech okrążał mu usta. Wstrzymał oddech, przymknął oczy.

Długo panowała cisza; potem dało się słyszeć powtórne łamanie, ale tym razem głośniej, bliżej. Leśnikowi biło serce, a strzelba drżała w dłoni. Zamknął oczy i oddychał głęboko i wolno.

Gdy oczy otworzył, ujrzał w gąszczu szarą plamę, a nad nią, po nad czarno obramowanemi łyżkami, ciężkie szeroko rozłożone parostki z ośmiu czerwonymi kończynami. Krótka ta chwila zdawała mu się wiecznością, w czasie której krew mu w żyłach zawrzała, a pot ze wszystkich porów wystąpił, aż znów nowe życie weszło w szarą plamę.

Skoro jednak szara plama się usunęła, a za nią brunatna postąpiła, wtenczas pomału i ostrożnie przyłożył gwintówkę do policzka i zakrzywił palec.

Po strzale wstał i słuchał. Kilka razy załomotało w świerkach, poczem nastała cisza. Ostrożnie przybliżył się do gąszczu, zniżył się a spostrzegłszy jasno czerwone bąble na pogniecionem ciele kluczyków, kiwnął głową z zadowoleniem i odszedł.

Młoda siuta, towarzyszka ósmaka, gdy ją ordynarny kochanek opuścił, ze zdziwieniem powstała ze swojego łożyska! Nie było to zwyklem jego zwyczajem, w jasny dzień przenosić się w rzadki starodrzew. I nie żądał nawet, aby z nim poszła.

Gdy następnie tak straszliwie zagrzmiało, uskoczyła z przestrachem, ale tylko kawałek — za wiele bowiem miała respektu przed swym gwałtownym władcą. Wiedziała dobrze, iż po tropie jednak by ją odszukał, a wtenczas byłyby cięgi i to gęste i bolesne. Zauważyła go też niezadługo. Głośno łamaly się suche gałęzie. Stał przy niej znowu! Ale co mu się stało? Taczał się i chwiał,— upadł—podniósł się znów z trudnością, pociągnął trzykrotnie cewkami leniwo, zwiesił głowę, załamał się znowu i pozostał leżąc. Najmilszą robiąc twarzyczkę zbliżyła się mała bojaźliwie do niego, wiedziała bowiem dobrze jakiem był ten stary grubijanin dzikiem zwierzęciem — o wiele mniej delikatnem od jej pierwszego kochanka.

Z trudnością podniósł głowę, gdy była przy nim, ale wnet ją opuścił obojętnie. Obwąchała go, pieszczotliwie. Odskoczyła wszakże z przerażeniem, gdy ją od niego dziwny, niesamowity wiatr doleciał.

Mimo to została przy nim godzinę całą. Od czasu do czasu usiłował powstać, ale zawsze charkocąc upadał z powrotem, przyczem czerwony płyn wyciekał z komory.

Potem opadła go drzemka, jeszcze raz zacharkotał straszliwie, wyciągnął głowę i cewki, i odtąd nie ruszył się już więcej. Wkrótce potem słychać było łamanie w gęstwinie i ludzkie słowa: „Szukaj po tropie, piesku, tak dobrze!“ „Szukaj zguby, piesku“!

Młoda sarna nadstawiła łyżki. Łamanie zbliżyło się. Głośne dyszenie psa dochodziło. Sarna z przerażeniem zniknęła w gęstwinie.

Nagle głęboki naszczekujący głos psa odezwał się, a po nim zaraz donośny rogu myśliwskiego sygnał: „Kozioł zabity“!

Obok ósmaka klęczał leśnik; radośnie oglądał jego ozdobę, wspaniałe trofeum, którego ośm kończyn świeżą farbą rywala były zbroczone.

Tymczasem młoda sarenka chodziła po lesie. Głośno wzywała czułego serca. I to znalazło się niebawem. Był to trzyletni okazały sarniec, o wiele przyjemniejszy i delikatniejszy, który nigdy nie był tak ordynarny jak stary ósmak zabijaka.

Przełożył
Wł. Janta Połczyński.



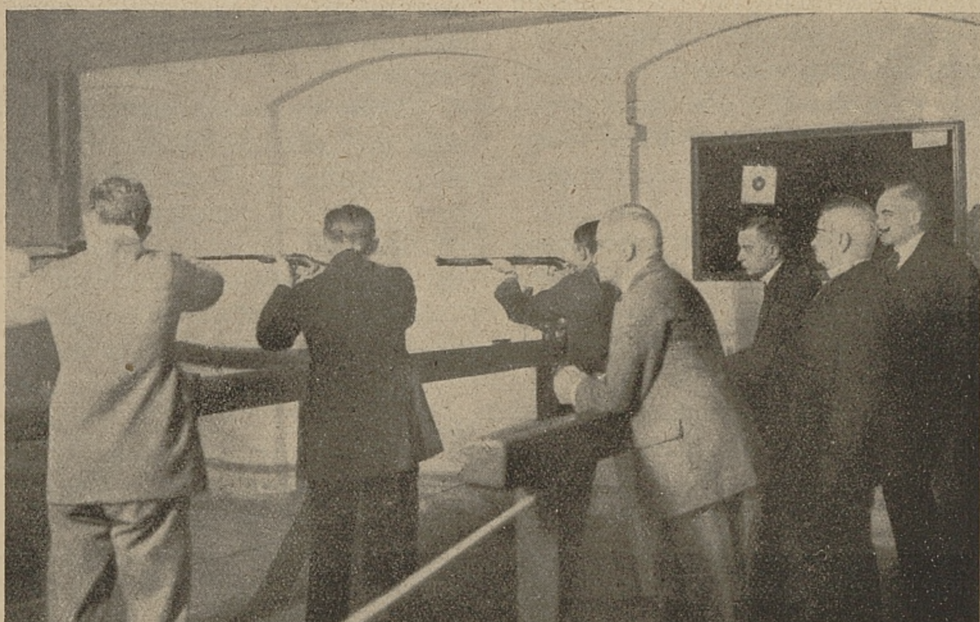
CIĘŻAR BRONI.

W dziele pt. „Sztuka strzelania“ (Die Kunst des Schiessens“) podaje znany autor niemiecki B. Deinert następujące dane dotyczące wagi śrótowej broni myśliwskiej.

Kaliber	12 — 2,9	do	3,100 kg.
„	16 — 2,600	„	2,750 kg.
„	20 — 2,250	„	2,500 kg.

SIŁA POTRZEBNA DO NACIŚNIĘCIA CYNGLA.

Siła, jaką zużywamy naciskając cyngiel musi pozostawać w stosunku do ciężaru broni. Dla broni ważącej 3 kg siła zużyta na przyciśnięcie przedniego cyngla powinna wynosić około 1,8 kg., na przyciśnięcie tylnego cyngla — 2 kg.



Na strzelnicy Polskiego Tow. Łowieckiego w Warszawie.
(N. Świat 35).

Deinert zwraca uwagę na to, że zbyt lekka broń podczas strzału silnego ładunku okazuje tendencje wylotem podrywania się ku górze. Myśliwy strzelający ze zbyt lekkiej broni nieraz wskutek tego góruje do celu.

W ciężkich broniach o lekko poruszanym cynglu wystrzał przypadkowy może nastąpić z łatwością powodując wypadek. W lekkich broniach o ciężko poruszanym cynglu strzał zazwyczaj szarpie i z łatwością chybia celu.



Z TAJEMNIC SPORTU RYBACKIEGO.

Na załączonej fotografji widzimy b. premiera dr Juljana Nowaka, z łososiem zwabionym na sztuczną muchę na rzece Dunajcu w Małopolsce.

Do połowu na sztuczną muchę używa się wędziska angielskiego sporządzonego z klinowanego, klejonego i wiązanego jedwabiem bam-



B. premier dr. Juljan Nowak, znakomity rybak i pionier rybołówstwa sportowego z łososiem złowionym na sztuczną muchę na rzece Dunajcu na Podhalu.

busu. Dobre wędzisko jest giętkie i elastyczne, jak stal.

U nasady wędziska znajduje się kołowrotek, czyli szpulka, na którą nawinięta jest specjalnie przeprowadzona linka (około 35—100 m.), która po przez pierścienie przebiega wzdłuż kija i zwisa przez pierścień wylotowy umieszczony na szczycie wędziska.

Urządzenie to pozwala na dowolne skracanie lub przedłużanie linki, a równocześnie umożliwia holowanie nawet najcięższej ryby.

Zahaczona, czyli jak się mówi „zacięta" ryba szarpiąc się wyciąga linkę z kołowrotka. Kij wówczas wygina się, ale nie łamie, coby nastąpiło niechybnie, gdyby linka była uwiązana do końca wędziska.

Przy zastosowaniu zaś kołowrotka ciężar ryby rozkłada się równocześnie na całe wędzisko.

Holowanie łososia wymaga wielkiej wprawy, przytomności umysłu i zimnej krwi. Ryba bowiem nigdy nie połyka haczyka, ale zacina się niekiedy bardzo powierzchownie za szczękę lub język. Wystarczy wówczas jedno nieumiejętne szarpnięcie, a ryba urywa się i znika w głębinach. Trzeba więc łososia ciągnąć z prądem (czasem kilkaset metrów) aż do chwili, gdy ryba wskutek nieregularnego oddychania zaczyna się dusić i słabnąć, co następuje zwykle po kilkunastu minutach.

Nierzadkie są jednak wypadki, że łosoś urywa się tuż przy brzegu po godzinnem szamotaniu się na wędce. Łososia przyholowanego do brzegu wyjmuje się z wody albo ręką, albo też przy pomocy saczka i haka.

Może tych kilka słów przekona sceptyków, że rybołówstwo angielskie niema nic wspólnego z nudziarstwem i maltretowaniem glist, ale że jest sportem wysokiej kultury i źródłem niezapomnianych emocyj.

Nie darmo też powiedziano żartobliwie, że gdyby Anglicy wiedzieli w czasie konferencji pokojowej, iż w Dunajcu panuje taka obfitość pstrąga i łososia byliby niechybnie z Podhala utworzyli państwo niezawisłe pod protektoratem angielskim.

Dr. Jan Lankau.



Uznanie dla generała Grąbczewskiego.

Na ręce redaktora naszego pisma napływa niezliczona ilość listów do Redakcji zawierających słowa uznania i zachwytu nad dziełami gen. Grąbczewskiego, członka naszego Komitetu Redakcyjnego, który pierwsze swe wspaniałe prace w piśmie naszem drukował. Jeden z listów tych podajemy:

Do Szanownej Redakcji
„Przeglądu Myśliwskiego"
w Warszawie
na ręce J. W. P. Juljana Ejsmonda.

Mając zwyczaj nabywać wszystkie książki nowe z dziedziny łowiectwa, które na półkach księgarskich ukazują się, nie omieszkałem również nabyć „Podróży" generała Grąbczewskiego. W krajach przez niego opisywanych w Bessarabji, Turkiestanie, Bucharze i t. p. nie byłem wprawdzie, jednakowoż przebywając w latach 1915 — 1918 w Turgajskim stepie wśród Kirgizów za Uralem i żyjąc wśród nich stale, poznałem dokładnie tak ich sposób życia jakoteż i język.

Opisy generała Grąbczewskiego z życia Kirgizów, są tak wierne tak rzeczowo i po mistrzowsku zebrane, że sprawia mi prawdziwą satysfakcję czytanie ustępów tego szczepu dotyczących. Z każdego słowa bije tam prawda i nic jak tylko prawda.

Moje uznaje i mój zachwyt nad książką generała Grąbczewskiego nic nie znaczą — bo jestem tak wśród braci myśliwskiej jakoteż wśród ludzi, którzy odbywali dalekie podróże znikomym i nikomu nieznanym pionkiem — a pisząc te słowa do J. W. Pana redaktora chcę dać dowód jak bardzo cieszy się dusza myśliwska czytając wierny — prawdziwy opis podróży i polowań bez żadnych blag i fantazji.

Czytając książkę generała Grąbczewskiego myśl ma mimowoli przenosi się do lat minionych auły kirgizkie, step, całe to odmienne przeciętnym śmiertelnikom nieznane i niepojęte życie staje przed oczyma tak dokładnie, iż zdaje mi się, żem ze stepów kirgizkich dopiero co wrócił. „Przegląd myśliwski", którego stałym jestem czytelnikiem naprawdę szczycić się może mając takiego sławnego współpracownika, jak generał Grąbczewski.

Pisząc te słowa, a nie maiąc na to innego sposobu—przesyłam na ręce J. W. Pana redaktora, najwyższe słowo uznania i zachwytu dla pracy wielce czcigodnego generała.

Z prawdziwym szacunkiem i poważaniem
Bolesław Strzelecki.

Cieszanów, Małopolska.



W SPRAWIE DZIEŁ PROF. OSSENDOWSKIEGO.

Prof. Antoni Ossendowski wróciwszy z podróży po Afryce do kraju nadesłał na ręce Redaktora naszego pisma list następujący:

9. XII. 1924 Warszawa.

Szanowny Panie Redaktorze!

Przed kilku dniami powróciłem z nowej podróży po Afryce Północnej i tu w stosie tak „modnych“ obecnie krytyk i napaści na moje książki podróżnicze i osobiście na mnie, pokazano mi w jednym z zeszytów „Przeglądu Myśliwskiego“ krytyczną uwagę pisma łowieckiego niemieckiego, przedrukowaną przez Sz. Pana. Otóż w tej notatce mowa o tem iż jelenie, które spotykałem w Mongolji, nie są „wapiti“, jak je nazwałem, ale „morały“ (po swojacku — „marał“). Pozwalam sobie wskazać, iż „morały“ znikają już za grzbietem Tannu-Ołu, na południu natomiast zjawiają się prawdziwe „wapiti“. Twierdzę to z całą stanowczością, a to twierdzenie podtrzymuje znany ameryk. podróżnik po Mongolji p. Roy Chapman Andrews, kustosz wydziału zwierząt ssących w „American Museum of Natural History“, co można znaleźć na str. 164, 168, 172, 228 i 231 jego książki „Across Mongolian Plains“, New York, 1921, oraz w artykułach p. Andrews w miesięczniku „Asia“, wychodzącym w N. Jorku w r. 1923.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku
Antoni Ossendowski.

Redakcja nasza zaznacza, iż krytyczną uwagę pisma niemieckiego „Wild und Hund“ podała z komentarzem skierowanym przeciw owemu pismu, zaznaczając śmieszność nazywania prof. Ossendowskiego „ein Pole amerikanischer Nationalität“. Zaznaczamy tu przytem ze zdziwieniem, iż pismo „Wild und Hund“ tak troskliwe o nieścisłości polskich podróżników w poważnem studjum z roku ubiegłego № 5 i 6 popełnia niedopuszczalny błąd przyrodniczy myląc żubra i tura i twierdząc, iż tury były w Prusach Wschodnich jeszcze w XVIII wieku, podczas gdy ostatni tur zginął w Polsce w XVII w.

Mimo, iż nie podzielamy zdania prof. Ossendowskiego w sprawie wapiti, podkreślić pragniemy, iż udziału w nagance na dzieła prof. Ossendowskiego (w przeciwieństwie do innych pism myśliwskich) nigdy nie braliśmy, o czem najlepiej świadczy recenzja pomieszczona w Nr. 6 naszego pisma o dziele p. t. „W ludzkiej i leśnej kniei“.

DROPIE W WIELKOPOLSCE.

Pragnę zwrócić uwagę na rzecz, o której mało, albo zupełnie się nie wie. Chcę mówić o rozprzestrzenieniu dropia w Polsce. Dropie nie tylko są stałe na Podolu i na wschodnich rubieżach Polski. 39 kilometrów od Poznania, w powiecie grodziskim dropie utrzymują się stale. Są obecnie trochę wytępione, ale pozostałym, wskutek ich niezwykłej ostrożności, niewiele ze strony myśliwych już grozi. Zresztą poluje się tu przeważnie na nie na tokach, w innych zaś razach tylko przypadkowo można jakiegoś zabić. Specjalnych polowań jednak się nie urządza. Latem tego roku padł drop w powiecie inowrocławskim. Na zimowem polowaniu zeszłego roku zabito dropia pod samym Lesznem w tut. wojew. A nawet w puszczy tucholskiej, dwa czy trzy lata temu, widziano całe stadko dropi, do dziesięciu sztuk. Tak więc słuszną jest uwaga p. Korsaka w „Roku myśliwego“, kiedy pisze o rozprzestrzenieniu zwierzyny w Polsce, że dropie zalatują do całej Polski. Nie wiem tylko czy p. Korsak wiedział o dropiach stałych w Wielkopolsce, bo wątpię czy tym z Podola chciałoby się aż na Pomorze zalatywać.

Aleks. Janta Połczyński

EGZOTYCZNY PODARUNEK INDOCHIN DLA PREMJERA HERRIOTA.

Parowiec „Azay-le-Rideau“ przywiózł niedawno na swoim pokładzie do Marsylji słonia, którego p. Merlin, gubernator Indochin przesłał p. Herriotowi jako podarunek gubernatorstwa cywilnego Indochin.

Słoń jest wysoki na 1 m. 70. Waży 1200 kg. i liczy jedenaście lat. Towarzyszył mu weterynarz Blondin z gubernatorstwa cywilnego.

Słoń nazywa się „Lulu“ i posiada niezwykły apetyt. Między Colombo a Port-Saidem zjadł 400 wiązek bananów. Umieszczą go w parku w Lyonie.

Z naganką.

Zima tegoroczna trzyma się zdala od nas, a może też uważając, że czas nareszcie wogóle żyć z kredką w ręku, chce się ściśle trzymać kalendarzowego terminu swego przybycia i pozwala jesieni wypełnić swój trud do końca.

Jest to radością dla wielu, ale zgryzotą dla myśliwych, którzy radziby dorwać się nareszcie do zajęczej skóry na polowaniach zbiorowych.

A tu rola miękka, oziminy duże, ani rusz wejść w pole, a tembardziej gromadnie, bo pominąwszy przykrość chodzenia po pulchnej ziemi, ale prócz tego można się też narazić na kolizje z gospodarzami, podczas których-to zetknięć, niezawsze słodkie i przyjazne słówka wylatują obopólnie z buzi.

Korzystając z trochę chłodniejszych nocy i przymrozków, a mając termin oddawna wyznaczony, zebraliśmy się w końcu listopada za Bugiem na terenach dzierżawionych — na dwudniowe polowanie.

Po przyjechaniu w nocy koleją do Białej i końmi do Janowa, potem bez odpoczynku dalej przez prom i jeszcze za Bug z 10 kilometrów, nad ranem stanęliśmy w Wołczynie, na plebanji, gościnnie nam użyczanej przez niedawno osiadłego tam proboszcza.

Rozbici na 2 partje po 12 myśliwych, po śniadaniu ruszyliśmy w pole.

Dzięki niestrudzonej energji prezesa naszego kółka magistra N. i Jego wielkiej znajomości terenu, oraz warunków miejscowych — mieliśmy wszystko na czas i furmanki, postoje, przewodników i naganke w dostatecznej ilości i jadło obfite.

Ludność miejscowa dość jeszcze pierwotna, na nas, przybyłych z ośrodka polskości robi wrażenie zupełnie zrusyfikowanej, i to nietylko wyglądem swym zewnętrznym, ale obyczajami i gwarą polsko-ruską. Tem niemniej nie widać tu zepsucia, jak to na wsiach rdzennie polskich się zdarza, nie słyszy się ordynarnych wymysłów i przekleństw, są za to wszyscy łagodni, grzeczni, powiedziałbym z pewnym odcieniem cichego smętku i poddania się losowi. Są to dziczki, które przy troskliwej i wydatnej opiece mogą stanowić najpiękniejszy materjał ludzki dla Polski, lub też zaniedbane, wcześniej czy później odpadną od pnia macierzystego, o ile będą traktowane po macoszemu.

Już dziś daje się znów odczuwać rusyfikatorski wpływ popów, przybyłych tu natychmiast po wojnie i prawem kaduka zagarniających nawet grunta kościelne i nieruchomości, z posiadania których z trudem tylko są wyrugowywani.

* * *

Dzień pierwszy polowaliśmy w kotły, gdyż próby pędzeń w miotach leśnych, wobec nierozgarniętej naganki—spełzły na niczem.

Naganka, uzbrojona była nie w hałaśliwe kołatki i nie wrzaskiem goniła koty, lecz napędzała im panicznego strachu czerwonemi chorągiewkami z płótna, osadzonemi na krótkich metrowych patykach. Faktem jest, że prawie żaden kot nie przedarł się przez linję naganki, a szukał miejsc luźnych i wpadał na myśliwych. Posiadanie chorągiewki przez naganke jest jednocześnie glejtem dla niej przy wieczornym apelu, gdyż bez chorągiewki i kartki legitymacyjnej nie uznaje się obecności na polowaniu.

Około 6-ej wieczorem syci wrażeń, ale głodni jak wilki, siedzieliśmy przy misach pełnych niewykwintnego, ale pożywnego, gorącego jadła. A więc barszcz w filiżankach, wiejskie paszteciki, prosię chrupiące, kiełbasa z kapustą i inne tym podobne smakołyki.

Gwar, przekpinki, opowiadania wrażeń dnia, sprośne kawały, cudowne strzały, niezaspokojone ambicje, żale i melancholijne westchnienia, wszystko, co zawsze w gromadzie łowieckiej ma miejsce po dniu spędzonym pracowicie w polu, czy w kniei.

Widząc, że zbiera się parę „kompletów“ do bridge'a i że spanie w zakopconych pokojach i w hałasie będzie jeszcze nieprędko możliwie, zmawiamy się w czterech i cichaczem wymykamy się pod przewodem komendanta do sąsiedniej chaty na wywczasy. W schludnej izbie na podłodze zasłanej sianem — dajemy wkrótce zgodny koncert sapania i chrapania.

O 5-ej apel, gdyż o 6-ej mamy być na mszy, specjalnie dla nas odprawianej.

Mglisty ranek, rześki i nieco mroźny zgromadził nas w kościołku, a właściwie dawnej kaplicy książąt Ciołków-Poniatowskich, zbudowanej w roku 1774, jako klasztor — kolegjum dla ojców Jezuitów.

Kościołek barokowy o przepięknych płynnych linjach ornamentów, o planie ośmiokątnym, o 3-ch kondygnacjach, z galerjami bocznemi dla rodziny książęcej.

(D. c. n.)

Józef Olczak.

Skorowidz „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego" za rok 1925.